

Godło:



Uriasz

„Taborety”

Na balkonie siedzi mój dziadek; moczy opuchnięte nogi w misce z wodą, a taboret na którym siedzi wydaje z siebie bolesne jęki, które niemal słyszę przy bramie. Wielkie, chłopskie cielsko na chwilę zrywa się na widok wnuka, ale zaraz potem opada gwałtownie. Senior rodu nie może nigdy okazać słabości wzruszenia, nawet jeśli w ciele człowieka po osiemdziesiątce wszystko jest słabością. Niedawno odykali mu zapchane żyły, do tej pory mówi przyduszonym głosem. Mój dziadek podobny jest do miasta w którym żyje, trwającego na przekór wszystkiemu. Podpiera się o lasce (bo nerw w jego nodze nadal jest uszkodzony), po dwóch okrążeniach ogrodu dostaje zadyszki, zasypia wcześniej, wstaje późno. Ale mimo wszystko żyje, tak jak Myślenice.

Nie wiadomo dlaczego to miasto powstało. Wepchnięte między góry i rzekę Rabę, jedyną łączność ze światem zewnętrznym zawdzięcza wiecznie zakorkowanej Zakopiance. Nie wiadomo czy to wciąż Podhale czy już Kraków. Nie ma tu żadnych złóż ani bogactwa. Jest tylko ośli upór setek ludzi i ich jęczących taboretów. A kiedy ci wszyscy ludzie siadają na balkonach po obiedzie, żeby patrzeć jak kwitnie maj, między ich domami, po ulicach, tańczy niesłychana cisza, której nie da się nie usłyszeć, zwłaszcza po powrocie z wrzeszczącej Warszawy.

Wracam na weekend ze stolicy, wiozę ze sobą puste słoiki i zapocone koszule, których nie zdążyłem wyprać. Przez dwa tygodnie biegałem w nich we wszystkie strony świata, podobnie zresztą jak dwa miliony innych osób. Sukces, zbytek, influence. Warszawa się rozwija, Warszawa się rozrasta, Warszawa jest wielka. A Myślenice siedzą na balkonach.

Pierwszy moment, w którym cisza Myślenic trafia do moich uszu, to moment zejścia ze schodków lokalnego wieśbusa. Rozklekotany eks-dostawczak charczy jeszcze chwilę, po czym znika odprowadzany wzrokiem miejscowej ławeczki. Pierwszy raz od godziny jest na czym zawiesić wzrok, z takiej okazji trzeba korzystać. Gdy wieśbus znika za rogiem, znów patrzą w przestrzeń, czasami zatrzymując oczy na kościelnej wieży.

Na dziesiątą mam być u dziadków, więc z przystanku idę szybkim krokiem. Resztki Warszawy w mojej głowie topnieją w majowym słońcu dnia budzącego się do życia, dlatego mój krok za chwilę znów staje się powolny. Idę przez ulice, a z balkonów patrzą na mnie ludzie w szlafrokach i z kawą. Spokojnie, zdążymy – śpiewa wszystko.

Faktycznie, zdążyłem. Nie ma różnicy czy przyjdę o dziesiątej czy jedenastej, bo przecież będę – jak nie teraz, to zaraz. Babcia krzyczy z balkonu „kacie mosz na dole”, a ja idąc do ganku, wiem że teraz zaczyna się najdłuższe trzydzieści sekund ich życia. Ten, kto ma osiemdziesiąt lat, jest najbardziej na świecie spragniony innych ludzi. Ci, których znałeś, odeszli. Ci, których próbujesz poznać, widzą w tobie tylko nieciekawą przeszłość. W tym oceanie samotności nic już na ciebie nie czeka, dlatego ten jeden moment odwiedzin kogokolwiek jest jak wyspa, na której wreszcie można odpocząć.

Po chwili jestem na górze, składam życzenia imieninowe, przepraszam że dopiero teraz i siadam. Nawet ich nie skończyłem, zresztą wszyscy tę samą mantrę zdrowia i szczęścia podają w tyłu sosach, że nie ma chyba człowieka, któremu nie zbrzydła ona zupełnie. Wie to mój dziadek i gwałtownie ściskając mi dłoń przerywa ten potok niepotrzebnych słów. Liczy się akt; przyszedłem, więc „Bóg mi w dom”.

Babcia znika w kuchni – żadna siła nie przekona jej, że nie chcę jeść. Kiedy byłem dzieckiem, nie cierpiałem jak wciskała we mnie jedzenie, teraz znam jej przeszłość i rozumiem. Do wybuchu wojny w jej domu niczego nie brakowało; jej ojciec Stanisław skupował żywność w ich rodzinnym Jaworniku i sprzedawał z zyskiem w Krakowie. Był to, jak mówi babcia „chłop obrotny, że kruca fuks”. Droga w jedną i w drugą stronę zajmowała cały dzień, a w zimie to i dłużej, ale nikt inny w Jaworniku nie miał parkietu i wanny z ciepłą wodą. Kiedy przyszli Niemcy, zabrali wszystko z magazynu i zabronili wyjeżdżać – nastąpiła bieda. W 1943 podpalili domy na górze Kotoń, a ludność rozstrzelali. Uchowal się jeden podrostek – kula trafiła go w słomiany kapelusz, a że chłopak był bystry, padł na ziemię razem z resztą. Wyskoczył ze sterty ciał dopiero jak bryczka wyjechała daleko za Jawornik. Babcia twierdzi, że po wojnie został w Jaworniku i chyba żyje po dziś dzień.

Zaraz kiedy wojna poszła precz, Anna, czyli matka mojej babci, zachorowała. Babcia słabo ją pamięta. Raz, jak gładziła ją po włosach kiedy szła do komunii świętej, mówiąc „Pięknaś, Geniu”, drugi raz jak umierała. Babcia mówi, że to był anioł. Mało mówiła, delikatnie się uśmiechała i nigdy na nic się nie skarżyła. Nawet kiedy konała, to chociaż z bólu ciekły jej łzy, to nadal była uśmiechnięta i szeptała „Zdrowaś Maryjo”. Nie wiadomo na co umarła, nie było wtedy szpitali, w Myślenicach stał tylko barak, w którym smarowali jodyną. Zresztą, nie było jej jak przewieźć; konie zabrała wojna, a drogi były zniszczone.

Dwa miesiące po prababci zachorował pradziadek. Znów nie wiadomo na co, babcia pamięta tylko, że gardło straszliwie mu nabrzmiało i nie mógł mówić, a jednej nocy zadławił się językiem i umarł. Po jego śmierci dom przejęła najstarsza ze wszystkich Maria, która na Kotoni straciła narzeczonego i ona jedna po ojcu nie płakała. Kiedy pytałem o to babcie, zawsze się wymijała, że nie wie i nie pamięta, dopiero dziadek powiedział mi w tajemnicy, że na tego chłopaka ojciec nie dał zgody, bo był Żydem. Babcia pewnie nie chciała o tym mówić, bo miesiąc po śmierci ojca Maria wysłała ją i młodszego Antka do biduła, a żeby przyspieszyć sprawę, urzędnikom darowała narzędzia rolnicze. Nigdy ciotki Marii nie widziałem, babcia nie rozmawiała z nią od tej pory, bo w sumie o czym?

W bidulu było im źle, ale najbardziej babcia wstydziła się, że jak poszła do technikum, miała ogromne braki; „wsiowi” zawsze mieli braki. Jak odpowiadała przy tablicy, to koleżanki się śmiały. Jak siedziała po nocach nad lekcjami, to śmiały się dzieci biduła. Wszystkich pogodziła w 1952, gdy zdała maturę. Wtedy też zaczęła spotykać się z dziadkiem.

Chałupa, w której urodził się dziadek, stała na skraju wsi zwanej Stróży. Jeśli Myślenice, jak mówią, są bramą do gór, to o ile Jawornik znajduje się po krakowskiej stronie, o tyle w Stróży mieszkają już Górale. W Stróży nikt nie miał parkietu w domu. W jednej izbie, na tym samym klepisku spali dziadek Wojtek, jego rodzice, babka, piątka rodzeństwa i ich krowa. Kiedy Niemcy zabrali ją za okupacji, dziadek wspominał, że „mamy płakali i włosy rwali z głowy”. Ale dobry Bóg ulitował się, wszyscy mimo głodu przeżyli wojnę i tylko jeden ojciec, zaraz gdy wojna się skończyła, jednego razu wrócił z pola, w progu złapał się za brzuch i padł jak długi. Nikt nie wie na co umarł, koni żeby go zabrać nigdy nie było, a w Myślenicach stał tylko barak, w którym smarowali jodyną.

W Stróży nie było też szkoły, władze kazały chodzić do Pcimia, ale kto by się tam słuchał, skoro trzeba było robić w polu? „Co zasadzisz to zjesz, książką się nie wyżywisz” – usłyszał pewnego dnia od matki, która nie powtarzała dwa razy. Więc mój dziadek został i razem

z rodziną dzień i noc bili się z ziemią na śmierć i życie. I nie kończyły się szczelble tej Jakubowej drabiny, po której panicznie wbiegali jedno za drugim, byleby nie spaść w otchłań głodu, która zjadała szczelbel za szczelblem.

Dziadek pewnie by został na gospodarce, ale pewnego razu skłamał majstrowi, że jest pełnoletni i tak dostał pracę przy budowie skrzydła szpitala w Myślenicach, akurat jak babcia zdawała maturę. Majster pewnie wiedział, ale po wojnie brakowało ludzi, potrzebne mu były każde ręce, nie ważne czy w pełni wyrosnięte. Dziadek był zresztą wielki, a ojciec w spadku zostawił mu wąsy czarne jak smoła, więc ci, co pytali, szybko przestali.

Na budowie była harówa, ręce rosły i puchły od noszonych cegieł, ale umiały już chwycić okazję, która by się nadarzyła. Dziadek był sprytny i gdy jeden z robotników po pijaku rozbił dostawczą Nysę, a przy tym ładunek z tyłu, Wojtek od razu zaoferował się, że będzie prowadził.

- Jak mnie przyuczycie to wam będę jeździł – powiedział szczerze, bo tak mówił zawsze.

-Wódkę pijesz?

-Raz zem pił, ale jak mnie mój tatuś świętej pamięci złapał, to tak mnie złoł, że od tej pory nigdy.

Majster aż nie chciał wierzyć. W tamten czas już piętnastolatki chodzili pijani, wódka była wszędzie. „Takie czasy” – mówią dziadkowie. Kto by ich wszystkich winił, w tej straszliwej Polsce lat pięćdziesiątych, że nie mieli dość siły by otrząsnąć się i zacząć to wszystko budować od nowa? Znosić, że wolno im jeść do syta, mówić swobodnie, śmiać się w głos, kochać nawzajem bez kalkulacji i nie musieć się wstydzić tych wszystkich poniżeń: tych co ledwo przeminęły i tych, które wciąż nieśli na plecach.

Wódka lała się strumieniami. Wsiąkała w gardła tych, którzy nie mieli już siły, a potem wplatała się w ich struny głosowe, tak żeby ich dzieci od dnia narodzin słyszały w ich słowach żal za światem, który na trzeźwo jest nie do przyjęcia, dlatego by żyć, nigdy nie wolno przestać pić. Dla majstra pewnie świat był tak samo nieznośny, ale zgodził się i dziadek po trzech miesiącach jeździł już samodzielnie.

W tym czasie byli już z babcią parą, wcześniej odwiedzał ją w bidulu, teraz na stacji, którą wynajmowała u dyrektorki stołówki, robiąc za pomoc w kuchni. Babcia nalegała, że chce zobaczyć ich dom, ale wykręcał się, że do Stróży PKS jest dwa razy na dzień i to jeszcze nie w jedyną wolną niedzielę. Mój dziadek może byłby się obronił i babcia do ślubu nie

zobaczyłaby jego domu rodzinnego, bo oboje pracowali od świtu do zmierzchu, ale raz chcąc jej sprawić przyjemność, sam zastawił na siebie sidła. Pewnego dnia, gdy majster ufał już Wojtkowi, ten poprosił go o pożyczenie auta, żeby zabrać Gienię na Zarabie, gdzie dziś w ciągu lata roi się od plażowiczów. Wielkanoc była chłodna, na Zarabiu leżało jeszcze mnóstwo śniegu, ale majster wszystko rozumiał i tylko się zaśmiał, a potem dał dziadkowi klucze do Nysy.

Dziadek podjechał pod stację Gienki i zatrąbił, a gdy tylko już zbiegła (zupełnie zresztą zaskoczona), powiedział:

-Jedziemy na Zarabie – a ona nic mu nie odpowiedziała.

Wojtek przejął się tym do żywego, bo przecież wszystko było między nimi dobrze, niedawno jak wczoraj dał jej przecież kwiaty na stołówce. Wychodził z niej zresztą czerwony, bo jak kierowniczką to zobaczyła, krzyknęła na całą salę:

- Ty go bierz Geniu, bo jak nie to ja go wezmę!

Ale dzisiaj babcia milczała. Jechali tak z 10 minut, aż tuż przed wjazdem na Zarabie powiedziała:

-Skręć tu – i wskazała na przed siebie.

-Ale po co tu?

-Nie gadaj tylko jedź.

Nie gadaj tylko jedź. Od tego momentu moja babka jeszcze przez 60 lat będzie ustawiać do pionu niemal dwumetrowego, śniadego i groźnego jak noc syna chłopskiej ziemi, który gdy tylko trzasnął pięścią w stół, natychmiast uciszał wszystkie rozmowy. Nikt inny, poza jego małą żoną nie był w stanie przełamać potem jego woli, a widać kochał ją bezgranicznie, jeżeli potrafił poświęcić dla niej swój wizerunek siły. Wojtek przełknął ślinę i skręcił na drogę do Stróży.

Dziś wszyscy jadą do Stróży przez Zakopiankę, a droga od Zarabia jest nowa i gładka jak tafla lodu, przez co dojazd trwa pięć minut. Gdy jednak dziadkowie jechali nią wtedy, auto trzęsło się tak straszliwie, że babcia musiała trzymać się poręczy. Wlekli się przy tym zresztą niemiłosiernie, bo przed Nysą jechała konna bryczka, której na wąskim pasie nie dało się ominąć. Dziadek już wtedy był czerwony ze wstydu, a gdy rolnik z bryczki zobaczył go i ukłonił mu się, biedny syn biednej ziemi marzył tylko by ta pochłonęła go do środka.

Wojtek wstydził się swojej nędzy, a od ludzi znał przecież historię tej kuchareczki, do której na stołówkę przychodził tyle czasu niby przypadkiem, niby przy okazji, niby akurat, aż w końcu zebrał się w sobie i zaprosił ją na kawę. Wiedział, że w Jaworniku mówili do niej „panienka” i gdyby nie siostra, dziś pewnie byłaby pracownicą banku, sędzią, albo kto wie kim jeszcze wykształconym i ważnym. On zaś, niedawno kupił swoim rodzicom drugą ławę, żeby siostra, która została na gospodarce, nie musiała już spać na ziemi. Po chwili Wojtek zatrzymał Nysę.

-To tu – burknął.

Gienia zaczęła się zachwycać, mówić, że piękny, ceglany, że wygląda jak jej rodzinny, a Wojtek cały czas milczał. Milczał nawet wtedy, gdy zaczęła go pytać czy wejdziemy do środka, aż w końcu krzyknęła na niego zniecierpliwiona. Wtedy on wziął wdech, przełknął ślinę i wymamrotał:

-To nie ten. Mój jest tam, obok lasu.

Wtedy Gienia zobaczyła słomianą chatę z maleńką stajenką obok, która ze wszystkich sił starała się nie osunąć do płynącego obok potoku; tego samego w którym mój dziadek omal nie utopił się w wieku siedmiu lat. Na grząskim poletku przed chatą uwijała się z koniczyną zgarbiona postać z chustą, a druga, ubrana podobnie, wysiewała grunt z drugiej strony. Nie było sposobu powiedzieć, która z nich była matką, a która córką; ich brunatne twarze wykrzywiało to samo umęczenie, ta sama codzienna walka ze skrawkiem błotnistej ziemi na skraju lasu. Kobiety, gdy zobaczyły auto, chwilę patrzyły w osłupieniu, a potem zerwały się krzycząc „Wojtek!”.

Przez całe spotkanie Wojtek siedział na pniu z kamienną twarzą, aż Maria żartowała, że ktoś w końcu jej brata-zbója krótko trzyma. Matka od pierwszej chwili pokochała Gienię i nie wypuściła pary bez koszyka jajek, chleba i co jeszcze udało jej się znaleźć. Gdy odjeżdżali, mój dziadek nadal miał twarz z kamienia, ale gdy babcia go pocałowała, popatrzył się na nią zdziwiony. A ona wtedy krzyknęła:

-Aleś ty jest! Taki wielki chłop, a taki durny! Swojej głupoty – tego się wstydź! Żebym ja po roku twoją matkę poznała!

Pobrali się trzy miesiące później.

Po powrocie z wojska, znajomy kierowca pomógł Wojtkowi zdać egzamin taksówkarski. W tym samym czasie Gienia została zastępczynią kierowniczką. Nadal Myślenice pamiętały

wojnę i głód, nadal na ich ustach miały knebel i imiona nieswoich bogów, ale w tej szarej niewoli wytartych prochowców, pustych pól i świstu gumowej pałki, nie wiadomo skąd zaczął pojawiać się jakiś kolor.

Dobry Bóg nie zesłał im żadnego Mesjasza, niewola trwała gdy rodziło się każde z ich trojga dzieci, gdy przez pięćdziesiąt lat każde zrywało się na nogi o szóstej rano, aby zjeść ten sam chleb, powiedzieć te same słowa, zrobić to, co zawsze musi być zrobione i zasnąć, by powtórzyć to samo następnego dnia. Wszystko robili tak jak potrafili najlepiej, tak jakby wiedząc, że choćby ich dzieci nie wszystko im przecież wybaczą, bo do świata, który one poznały, wdarło się przecież o wiele więcej koloru. Moi dziadkowie trwali w ruchu przez cały czas, nie chcąc słyszeć zgiełku tych wszystkich zdarzeń, nowych flag łopoczących na wietrze, kolejnych rozdieranych koszul i raz po raz obwieszczanej, po stokroć pranej tkaniny dobrej nowiny. Nawet gdy w 1989 runęły posągi starych bogów, moi dziadkowie tak samo co świt otwierali oczy i robili to, co należało. A kiedy sami uznali to za stosowne, tak jak wszyscy, którzy razem z nimi budowali to miasto, wyciągnęli swoje taborety i usiedli na balkonach, ażeby wreszcie odpocząć.

Każdy z nich śmiał się i płakał, ale nikt nigdy nie odbierze im, że to oni to wszystko przeżyli. Ci ludzie tak potwornie zmęczeni, 70 lat czekali aż wreszcie będą mogły skrzypieć ich taborety. I chociaż nawet do ich kraju wdziera się zgiełk i ryk tej przeklętej Warszawy, na dawnych pustkowiach co rusz rodzą się kolosy z betonu, chociaż nawet ten kraj utraci kiedyś swoją ciszę, tych, którzy czekali na nią tyle lat, już nie będzie, dobry Bóg zamknie na zawsze ich oczy i wybawi od złego. Oto oni - moi dziadkowie, ich bliscy i sąsiedzi, pośmiertnie zaliczeni w poczet bogów, za to, że dali świadectwo. Gdy trwali, nikt nie wygłosił wielkiej mowy, nie wygrano żadnej bitwy, nie było za ich czasów żadnego Zbawiciela. Był za to kamień do ociosania i praca, którą wykonuje się w milczeniu, by na koniec spożyć chleb powszedni, tak powszedni jak będzie dzień następny. Oni są ziemią, po której chodziłem od urodzenia.

Finis.

Wiecznej pamięci głównych bohaterów, moim dziadkom Genowefie i Wojciechowi.

Warszawa, 28.06.2023.